

666

Różnie można odczytać „Burzę”, tę dziwną sztukę, którą Szekspir zegnał się z teatrem. Właściwie prawie każdy widz może odczytać ją na swój sposób i mogą to być interpretacje całkiem niepodobne do siebie, a przecież nie bezpodstawne. Osobiście sądzę, że swego rodzaju kluczem do przedstawienia Macieja Englerta w Teatrze Współczesnym może być zdanie wypowiedziane przez Prospera w jednej z ostatnich scen: „Cnota doskonalsza w uczynkach, niż zemsta”.

Czemu służy ten baśniowy świat, jaki stanowi wyspa zamieszkała przez duchy pod władzą człowieka wyposażonego w czarodziejską siłę? A może to wszystko nie jest aż tak nieprawdopodobne, jak się wydaje i jest tylko odbiciem całkiem ludzkich pragnień? Na przykład pragnienia człowieka ciężko skrzywdzonego przez bliźnich i czekającego okazji do zemsty, która zresztą będzie tylko aktem surowej sprawiedliwości. Czy nikt, kto doznał dotkliwej krzywdy, nie marzy nigdy o jakiejś, nawet zgoła fantastycznej sytuacji, w której stanąłby oko w oko z winowajcą, zdany w tym momencie całkowicie na jego łaskę i niełaskę?

Z taką właśnie sytuacją mamy do czynienia w „Burzy”. Owe duchy na wyspie, na czele z Ariellem, który swobodnie manipuluje siłami przyrody oraz podporządkowująca je sobie czarnoksiężka moc Prospera służą właściwie tylko jednemu celowi: stworzeniu najbardziej odpowiednich okoliczności dla dokonania zemsty na jego wrogach. Ale Prospero żyjący wyłącznie myślą o tym, jest zarazem punktem wyjścia do ukazania całego szekspirowskiego obrazu świata widzianego oczami bogatego w doświadczenie artysty i człowieka. Chyba sporo słuszności tkwi w opiniach upatrujących w „Burzy” rodzaju testamentu artystycznego wielkiego poety?

Jeżeli przy odczuciach, jakie może budzić przedstawienie teatralne wypada posłużyć się słowem „uroda”, to właśnie przedstawienie Englerta odznacza się niepoślednią urodą. Jest to efekt pełnej harmonii wszystkich jego elementów: słowa i gry aktorskiej, plastyki oraz muzyki. Autorem pięknej i pomysłowej scenografii jest Marek Lewandowski. Przy pomocy najprostszyszych środków, bo luźno związających, poszarpanych lin stworzył przemawiający do wyobraźni, na polu fantastyczny krajobraz niezwykłej wyspy. Kontrastujące z nim barwne kostiumy postaci rozbitek z królewskiego okrętu nadają układom scenicznym jakiejś malarskiej ekspresji. Potęguje to odczucia muzyka Andrzeja Sobieskiego, przywołująca klimat dawnej epoki. Zigmunt Zdanevich z kolei udanie pokierował działaniami duchów w wykonaniu zespołu Pantomimy Politechniki Szczecińskiej.

Przy przedstawieniu „Burzy” Englert posłużył się najnowszym tłumaczeniem utworu — Macieja Słomczyńskiego — i ten fakt też nie jest bez znaczenia. Tłumaczenie Słomczyńskiego cechuje zwartość i prostota języka, któ-

Felieton teatralny

Nic co ludzkie...



Na zdjęciu: Scena z „Burzy”. Od lewej: Trinculo — Zbigniew Witkowski, Stephano — Jerzy Karaszkievicz i Kaliban — Tadeusz Zapaśnik.

Fot.: M. Czasnoję

ry brzmieć na wskroś współczesnie, pozostaje zarazem wierny Szekspirowi.

O trafności formy scenicznej, jaką realizatorzy znaleźli dla „Burzy” świadczy najlepiej początek przedstawienia. Na wiszącej na linach drewnianej płycie, wyobrażającej pokład — zastygła w bez ruchu grupa postaci, pasażerów królewskiego okrętu. Oglądamy jakby historyczne malowidło. Ale oto stojący niżej Prospero uderza trzykrotnie czarodziejską laską w ziemię i zrywa się burza. Wieje wicher rozkołysujący pokład, grzmie pioruny, niewidzialna fala zmywa pasażerów ogarniętych najwyższą paniką. W finale przedstawienia widzimy niemal identyczny obraz.

Jeżeli przyjąć, że Prospero to duchowy autoportret samego Szekspira, to w przedstawieniu Englerta jest on nie tylko świadomym swego władzy czarodziejem, wnikliwym znawcą duszy ludzkiej, ale sam jest człowiekiem z krwi i kości, podlegającym zwykłym, ludzkim emocjom i nastrojom. Prospero — Mieczysław Banasik — nie jest więc również do końca panem samego siebie i daje się ponieść zrozumiałym podnieceniom, kiedy jego plany zaczynają się urzeczywistniać. Ten Prospero zdaje się swoją osobowością potwierdzać starożytną maksymę Terencjusza: „Nic, co ludzkie, nie jest mi obce”, zarówno w porwach nadmiernej surowości wobec Mirandy, jak wreszcie w końcowym akcie nieoczekiwanej rezygnacji z zemsty, pogodzenia się z wrogami. „Jestem z ich

rodu” — mówi w taki sposób, jakby to znaczyło: Jestem tylko człowiekiem.

I takim też sposobem widzenia świata jest cały kształt „Burzy” w Teatrze Współczesnym. Świata widzianego oczami człowieka pełnego mądrości, surowo oceniającego ludzi, ale jednocześnie wyrozumiałego dla nich. Człowieka pozbawionego zarówno uprzedzeń, jak i iluzji, pogodzonego z tym światem, a mimo wszystko wierzącego w dobro tkwiące w ludziach.

To wynika jednak dopiero na końcu przedstawienia, a zanim to nastąpi, sami ludzie nie zostali w nim bynajmniej oszczędzeni. Ironia, kpina, a nawet sarkazmem zostali obdzieleni wszyscy poza Mirandą (Ewa Wójcik) i Ferdynandem (Henryk Gęsikowski). Nawet poczciwy Gonzalo został wykpiony. Kiedy Marian Nosek w tej roli snuje swoją wizję wyspy szczęśliwości, to ta utopijna idea społeczna okazuje się wyjątknie śmieszną, starczą mrzonką. A inni? Wyrzuceni na wyspę bez perspektyw powrotu, niepewni swego losu i życia, także w tej sytuacji pozostają tym, kim byli. Nawiązują intrygę, spisek, są gotowi do skrytobójstwa dla zdobycia pozycji, która na wyspie nie może mieć żadnego znaczenia, przyszłość zaś jest wielką niewiadomą. To przede wszystkim Sebastian — Andrzej Saar i Antonio — Jacek Polaczek. Jakże gryząca ironia zawiera w rezultacie pełen naiwnego zachwyty okrzyk Mirandy na ich widok: „O nowy, wspaniały świecie tych ludzi!”

Ci ludzie, to także królewscy dworzanie: Trinculo — Zbigniew Witkowski i Stephano — Jerzy Karaszkievicz, komiczni opoje. Nawiasem mówiąc również zdolni do najgorszych czynów, nie znający co to nakazy i zakazy moralne. Prawda, że w tym przypadku oczywista nicość tych postaci przestanią ich komizmiczne pijańskie perypetie z udziałem Kalibana. Śmiech, który wzbudza na widowni wydaje się dla nich stanowić okoliczność łagodzącą, niemniej osąd, na jaki zasługują jest chyba jednoznaczny.

Kaliban i Ariel, to oddzielna sprawa. Może rzeczywiście są dwiema stronami ludzkiej natury, a może znaczą o wiele więcej. Obaj pragną wolności, wyzwolenia spod władzy Prospera, ale ta wolność pozostaje przecież tylko nieokreślona idea, czystą abstrakcją. Do czego im posłuży wolność? Czy w ogóle mogą być wolnymi, niezależnymi od woli człowieka?

Ariel Ewy Wrońskiej, to jedna z najpiękniejszych postaci przedstawienia. Ucieleśniona poezja! Prawdziwie dobry duch, pełen wewnętrznej ciepła, miękkości, a zarazem mający w sobie coś tajemnego. Doskonałym przeciwieństwem Ariela jest Kaliban w wykonaniu Tadeusza Zapaśnika. Prymitywny, żywiołowy stwór, chyba nie do końca zły ze swej natury, a na pewno imponujący zapiekłym uporem wyrwania się z niewoli Prospera. Może warto przy okazji przypomnieć, jako ciekawostkę, że kiedy w 1947 r. odbywał się w Polsce festiwal szekspirowski, wśród opinii o „Burzy” wystawionej wówczas przez Leona Schillera znalazły się i takie, które w postaci Kalibana znalazły dowód antydemokratycznej wymowy utworu, opowiedzenia się autora za poddańczą rolę ludu w hierarchii społecznej.

Właściwie trudno, bez uznania dla całego zespołu realizatorów, rozstrząsać dalej odczucia wynoszone z tego przedstawienia. Trzeba by wymienić wszystkie postaci, a więc Mirandę — Ewę Wójcik, króla Alfonsa — Jerzego Ernza, boginie: Iriś, Juno i Ceres (Irina Babińska, Nina Grudnik i Bolesława Fafińska), Adriana i Francisca (Sylwester Woroniecki i Jan Stawarz), kapitan okrętu i bosman (Stanisław Paks i Józef Chwiejczak), a wreszcie Harpie (Małgorzata Peczyńska).

Oczywiście, jeżeli chodzi o wartość ideową, „Burza” nie jest utworem tej rangi, jaką przedstawia dla nas na przykład tak udanie wystawione w ub. roku „Wyzwolenie” Wyspiańskiego. Nie przeszkadza to, sądzę, traktować tego przedstawienia jako niewątpliwego sukcesu artystycznego w Teatrze Współczesnym. Szekspir, jak wspominałem, zegnał się „Burzą” z teatrem, a tak się składa, że Maciej Englert zegnał się przed przedstawieniem „Burzy” ze Szczecińskim jako kierownik artystyczny teatru na Wałach Chrobrego. Piękne to pożegnanie. A niezależnie od tego, jak pomyślna może okazać się przyszłość dla tej sceny, trzyletni okres dyrekcji Englerta pozostanie z pewnością bardzo znaczącym w jej rozwoju.

Z. WRZOS